

Wanda Wiłkomirska: Uczyć geniusza to nie sztuka



Małgorzata Annusewicz

Wanda Wiłkomirska, wybitna polska skrzypaczka opowiada o swojej muzycznej rodzinie i własnej muzyce.

Wanda Wiłkomirska podczas kursu mistrzowskiego, który prowadziła w Akademii Muzycznej w Szczecinie.

(Andrzej Szkocki)

Kim jest

- Wanda Wiłkomirska to wybitna polska skrzypaczka, przez 22 lata była solistką Filharmonii Narodowej w Warszawie. Jako solistka brała udział w inauguracji odbudowanej po wojennych zniszczeniach Filharmonii Narodowej w Warszawie, w otwarciu Barbican Hall w Londynie, dała inauguracyjny recital oraz wystąpiła na pierwszym koncercie orkiestry Sydney Symphony w Operze w Sydney.

- Urodziła się w 1929 r. Po raz pierwszy wystąpiła publicznie w wieku 7 lat. W 1947 r. ukończyła studia w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Łodzi. Po 13 grudnia 1981 r. wyjechała z Polski do Niemiec, od 1983 r. uczyła gry na skrzypcach w Hochschule für Musik Mannheim. Do Polski wróciła dopiero w latach 90. Obecnie mieszka w Australii w Sydney.

- Koncertowała na pięciu kontynentach, dając recitale i grając z czołowymi orkiestrami pod batutą takich mistrzów jak: Otto Klemperer, Leonard Bernstein, Carlo Maria Giulini, John Barbirolli, Kurt Masur, Wolfgang Sawallisch, Zubin Mehta.

- Jesienią ub. roku prowadziła w Szczecinie "Kurs mistrzowski interpretacji muzyki Karola Szymanowskiego" w ramach obchodów ogólnopolskiego Roku Szymanowskiego ogłoszonego z okazji 70. rocznicy śmierci kompozytora. Wzięło w nim udział 12 uczniów Akademii Muzycznej w Szczecinie oraz Szkoły Muzycznej I stopnia w Szczecinie.

- Znana jest Pani jako Wanda Wiłkomirska, ale nie tak brzmi Pani pierwsze imię?

- Tak. Faktycznie jestem Jolanta Wanda Alfreda. I jakby spojrzeć w dowód, gdzie jest napisane Jolanta Rakowska, to jakby nie o mnie. Zresztą dopiero gdy miałam 6 lat dowiedziałam się, że nie jestem Wanda. Całemu zamieszaniu winna jest moja matka chrzestna, rodzona nic o tym nie wiedziała.

- Pochodzi Pani z rodziny muzyków. Nie jest łatwo w rodzinie muzycznych geniuszy?

- W mojej rodzinie jest jakaś cudowność. Bo wszyscy: Kazimierz, Michał, Maria, Józef i ja gramy na instrumentach. Każde z nas już w łonie matki miało przez ojca - Alfreda Wiłkomirskiego - przypisany instrument. Jak skończyłam 5 lat dostałam od niego skrzypce. Dwa lata później w łódzkiej szkole muzycznej zagrałam I sonatę Mozarta. Ale ojciec nigdy nie zmuszał nas do gry. Choć nigdy nie pozwalał nam na wyjazd na wakacje bez instrumentu. Ale też pilnował, bym nie złamała sobie np. palców. Pamiętam jak zrobił karczemną awanturę w szkole, gdy zobaczył, że gram w siatkówkę. Zaczęłam płakać i wołać: ja chcę być normalną dziewczynką!

- Gra Pani dla siebie czy dla publiczności?

- Zawsze gram dla publiczności. Dla siebie - ćwiczę. Kiedyś węgierski profesor uczył mnie, jak nie mieć tremy - mówił, abym grając myślała, że przede mną w rzędach siedzą główki kapusty, nie ludzie. Zaprotekowałam, że jeśli tak, to wolę zostać w kapciach w domu. A skoro gram na sali koncertowej, to chcę, by każdy słuchacz odniósł wrażenie, że gram tylko dla niego.

- Miewała Pani tremę?

- Jadąc samochodem na koncert gryzłam paznokcie. Kiedy wychodziłam na scenę, gryzł je mój mąż. I powtarzał: przecież ona nic nie umie. Często trema budzi się, gdy boimy się, że zapomnimy nut. Ale jak sięgnę pamięcią, to ja nigdy nie miałam problemów z ich zapamiętywaniem. A to z prostej przyczyny. Jako dziecko miałam słaby wzrok. W czasach mojej młodości nie było jeszcze szkielek kontaktowych, a okularów nosić nie chciałam. Bo uważałam, że okulary noszą tylko brzydkie dziewczyny. Dlatego przy tak słabym wzroku musiałam uczyć się nut na pamięć. I z pamięci grałam nawet sonaty.

- Uczy pani młodych skrzypków, choć swego czasu zażegnywała się Pani, że nigdy nie będzie nauczycielem.

- Tak mówiłam i wierzyłam w to święcie. Ale rodzeństwo się tylko śmiało i powtarzało: poczekaj, poczekaj. Sama grałam niewiarygodną ilość koncertów. W najbardziej twórczym okresie miałam ich ponad 100 w roku. A mój rekord to 134. Ale to nie było tak całkiem uczciwie policzone. Bo wtedy liczyłam szkolne koncerty uzdrowiskowe, takie, które można było grać nawet po trzy z rzędu, jednego dnia. No i wtedy nie miałam nawet czasu, by uczyć.

Kiedy jednak wyjechałam z Polski i nagle nie musiałam spędzać wielu godzin w kolejkach po wszystko, a moje honoraria trafiały na moje konto, a nie agencji - zyskałam czas. W Hochschule für Musik w Mannheim zaproponowano mi naukę siedmiorga studentów. Powiedziałam: na jeden semestr. I zaczęłam, choć przyznam, że nie umiałam. Miałam swoją klasę ze swoim nazwiskiem na drzwiach. Wtedy studenci to były moje króliczki doświadczalne.

Ale ja nie chcę, by moi uczniowie grali tak jak ja. Ja tylko im pokazuję, jak ja bym zagrała. Nie sztuką jest uczyć geniusza. Sztuką jest nauczyć dziecko specjalnej troski, nie mające łatwości grania. I jak ono zrobi taki malutki krok do przodu - to wtedy jest sama radość.

Jedno, co mnie denerwuje, to że nadal uczy się studentów na solistów. Oczywiście ci najlepsi dostaną się na sceny, ale jeśli trafią do orkiestry, to mają poczucie, że grają tam za karę, że im nie wyszło. A ja kształcę po prostu skrzypka. Nie żadnego doctora honoris causa, solistę, artystę. Po prostu skrzypka. Jest wiele zawodów na świecie, jednym z nich jest skrzypek. A życie pokaże, czy wyjdzie z niego solista czy nauczyciel, czy muzyk w orkiestrze. Dzisiaj uważam, że nie ma piękniejszego zawodu niż nauczyciel. Nie, przepraszam, jest - lekarz.

- Pamięta Pani jakieś wpadki?

- Kiedyś pękła mi struna. Jeśli to dzieje się w momencie niedalekim końca koncertu, to ja normalnie wyciągałam rękę do pierwszego skrzypka, który miał zawsze lepsze skrzypce ode mnie, i grałam dalej. Zdarzało się też, że wypadł mi smyczek z ręki, lub w trakcie koncertu zawył sygnał pogotowia ratunkowego. Kiedyś w Kielcach miałam taki koncert bez koncertmistrza i bez pianisty. I ot, strzeliła mi struna. Więc cóż, powiedziałam: proszę państwa mam taki pomysł, przyniosę nową strunę i pokażę, jak się ją nakłada. Potem, parę lat później koncertowałam w Niemczech, do garderoby przyszedł pan i mówi: byłem na koncercie w Kielcach i przynoszę

pani zwiniętą strunę E, tę zerwaną, którą znalazłem na podłodze. Okazało się, że kiedy ja wyszłam z sali, on ją podniósł. Przez dobre 30 lat jesteśmy w przyjaźni.

- Czy szyła Pani sobie specjalne suknie?

- Jak byłam młoda, miałam piękne suknie i swoją krawcową w Polsce. Byłam etatową skrzypaczką w Warszawie, a więc miałam przywilej, że każdego roku musiałam mieć nową suknię na koncert inauguracyjny. Jak się zdarzała specjalna okazja, to była i druga. Ale kiedyś, pamiętam, grałam koncert, to była totalna wiocha, i tam podeszła do mnie pani i powiedziała, że parę lat temu była na moim koncercie i byłam ubrana w tę samą suknię. Więc od 1965 roku zaczęłam prowadzić kalendarzyk i zapisywać, gdzie jakie suknie wkładałam. Teraz kupuję suknie w Japonii, bo tam są niewysokie i szczupłe kobiety i nie muszę niczego przerabiać.

- Podobno w każdej podróży towarzyszy Pani miś koala?

- Tak. Od 1986 roku mieszkam sama. I pluszowego misia biorę zawsze w każdą podróż. On siedzi w hotelu i czeka. Siedzam go na łóżku, czasem na piżamce czy kocyku. A kiedy zmęczona wracam do hotelowego pokoju, on tam jest. To miło, jak się przychodzi do pokoju, gdzie ktoś czeka.

- Jest Pani bardzo ceniona, ale i bardzo lubiana przez melomanów

- Kiedyś Krzysztof Jakowicz powiedział mi: oni wszyscy cię tak lubią, bo nie mieszkasz tutaj, wróc do Polski, to zobaczysz. Z Konstantym Kulką mamy podobny smak, jeśli chodzi o ludzi. Faktycznie dostaję bardzo dużo ciepła od ludzi, ale i sama ich lubię. Nie znam też uczucia nienawiści.

- Ukochane Pani utwory?

- W czasie studiów uwielbiałam Bartoka: obie sonaty i rapsodie. Lubię też koncerty Wieniawskiego, Prokofiewa, Szostakowicza. I koncert Szymanowskiego, zmienił moje życie. Grałam go na pięciu kontynentach. Kocham całego Ravela, nawet kwartet. Całą literaturę fortepianową. Kocham impresjonistów: Chagalla, Van Gogha, Goyę.

- A czyją muzykę zabrałaby Pani na wyspę bezludną?

- Wszystko, co zgubisz, czego szukasz - znajdziesz w Bachu.